

# *Coś wewnątrz Czegoś*

---

*Zgromadzenie Międzynarodowe Odpowiedzialnych*

*Comunione e Liberazione*

*La Thuile, 27 – 31 sierpnia 2005*

## WPROWADZENIE

---

### **Julián Carrón**

Każdy z nas przybył tu z jakimś oczekiwaniem w sercu, z pragnieniem spełnienia: im większa jest świadomość wielkości tego pragnienia, tym bardziej człowiek zdaje sobie sprawę, iż sam z siebie nie jest w stanie na nie odpowiedzieć. Stąd też tym, co każdy odczuwa jako najbardziej własne, najbardziej współbrzmiające z tą potrzebą, jest błaganie: albowiem to ktoś Inny jest tym, który odpowiada, który wypełnia, my bowiem jesteśmy biedakami, żebrakami czegoś, czego sami sobie nie możemy dać. Dlatego zaczynamy, błagając tego jednego jedyne, który jest w stanie odpowiedzieć, czyli Ducha Świętego. (Hymn: Przybądź Duchu Święty)

Pragnę pozdrowić osobiście każdego z was i wyrazić radość z tego naszego spotkania odpowiedzialnych w La Thuile. Przybyliśmy z 70 Krajów, w których obecny jest Ruch. W szczególny sposób pragniemy pozdrowić przyjaciół z Estonii, Hondurasu, Południowej Afryki oraz Indii, którzy są tu po raz pierwszy.

Nasze dzisiejsze spotkanie, jak mogliście to przeczytać w ogłoszonym wczoraj komunikacie, nie może rozpocząć się inaczej, jak właśnie od łaski, jakiej doznaliśmy wczoraj, czyli od audiencji u Papieża Benedykta XVI, w jakiej wczoraj wraz z don Pino i Cesaną mogliśmy uczestniczyć. Zapytałem Papieża, czy mogę przekazać wam jego pozdrowienie, a on natychmiast odpowiedział: „Oczywiście!”. Tak więc najserdeczniejsze pozdrowienia od papieża Benedykta XVI!

Rozmowa, jaką z nim odbyłem, dotyczyła tego, co zamierzamy robić w tych dniach. Papież był niezwykle zainteresowany naszym doświadczeniem w całym jego bogactwie. Pytał mnie o wszystko, i to jest po prostu niesamowite, że ktoś tak wielki stawia tyle pytań! Cała rozmowa/dialog była ciągiem następujących po sobie pytań, na które starałem się jak najlepiej i możliwie najbardziej syntetycznie odpowiadać. Sprawa, której poświęciliśmy najwięcej czasu dotyczyła wychowania.

Wspominam o tym, aby uczynić was uczestnikami trosk Papieża, pokazać to, czemu on w szczególny sposób przygląda się w naszym doświadczeniu, a zatem, aby pobudzić nas do odpowiedzialności, jaką mamy w obliczu danego nam charyzmatu.

Nade wszystko jednak, jeszcze przed odpowiedzialnością za charyzmat, staje odpowiedzialność za każdego z nas. Pierwszą sprawą, z której musimy sobie zdać sprawę jest ta, iż my nie różnimy się od wszystkich innych: żyjemy, jesteśmy powołani, aby żyć wiarą w takich samych okolicznościach, jak wszyscy inni ludzie i także nas dotyczy walka przeciwko nicości. Nie jesteśmy od niej wolni, i nic nam nie zostaje zaoszczędzone. Stąd też jeśli pośród nas nie zaistnieje na nowo chrześcijaństwo jako wydarzenie, podobnie jak dla każdego, kogo spotykamy, prędzej czy później przynależność do Chrystusa zacznie tracić na zainteresowaniu, i zwycięży nihilizm. Zastanawiałem się nad tym w ostatnich dniach podczas Meetingu, gdy rozbrzmiewały oklaski po wygłoszonej przeze mnie lekcji, gdyż one nie były tylko dla mnie. Myślałem sobie: „Za każdym z tych klaszczących stoi cała historia,

stoi historia spotkania, weryfikacji tego spotkania; ci ludzie nie są sentymentalistami, którzy znaleźli się tu przez przypadek”. Wszyscy oni, i każdy z osobna, którzy tam byli, znaleźli się tam, ponieważ zafascynował ich Chrystus. A zatem, jeśli to nie będzie się wydarzało nieustannie, jeśli każdy z nas nie pozwoli pociągać się Chrystusowi, nie sposób, by także w nas nie zwyciężyła nicość. Nie uporaliśmy się z tym dramatem i ów dramat rozgrywa się w każdym z nas. Walka rozgrywa się każdego dnia w sercu każdego z nas, w osobistym, tajemniczym dialogu pomiędzy „ja” każdego z nas a fascynacją Chrystusem. Bez zwycięstwa tej fascynacji jesteśmy skończeni, zarówno najmłodszy, jak i najstarszy, ten, kto przybywa tu dziś po raz pierwszy oraz ci, którzy są od pierwszego dnia. A jutro, zaledwie otworzysz oczy, ów dramat pojawi się na nowo.

Stąd też my, teraz po odejściu ks. Giussaniego, podobnie jak i wcześniej, gdy on był wśród nas, stajemy w obliczu tego wyboru: *Comunione e Liberazione* może przetrwać jako organizacja jeszcze przez pewien okres czasu, tak jak trwają różne inne rzeczy; albo będzie ono kontynuowane jako doświadczenie życiowe, jako fascynacja porywająca [pociągająca] za sobą całe ja. Tylko to staje się na nowo propozycją dla każdego z nas.

A oto czego pragniemy w tych dniach. Nie zamierzam ani o gram pomniejszać dramat relacji każdego z was z Chrystusem. Nie jesteśmy tu, by zaoszczędzić sobie [uwolnić się od] owego dramatu, ale by go nieustannie pobudzać, i dlatego chcemy pomóc sobie w tym, zmieniając sposób bycia razem w tym geście. Po Rekolekcjach Bractwa, przez które zostaliśmy sprowokowani w zakresie naszego pragnienia szczęścia, pełni, do nadziei, która zawieść nie może nie chcieliśmy dodawać kolejnej lekcji, zanim nie popracujemy najpierw nad tym, co dotychczas usłyszeliśmy. Powiedzieliśmy sobie: proponujemy wszystkim naszym przyjaciółom taką pracę, ponieważ Ruch nie jest jakąś szkołą, w której ktoś raz na jakiś czas wygłasza wykłady, ale jest towarzyszeniem sobie ku przeznaczeniu. Ruch o tyle będzie nas interesował, o ile będzie wędrówką ku przeznaczeniu, jeśli temu będzie służył, jeśli będzie służył życiu, wędrowaniu, nie poddawaniu się nicości, w przeciwnym razie przestanie nas interesować, a my przybywając tutaj stracimy tydzień wakacji.

Co zatem wydarzyło się podczas Rekolekcji? Jakie pytania zrodziły się z naszej pracy? Jakie trudności pojawiły się? Czego nie zrozumieliśmy? Jesteśmy tutaj, aby sobie w tym pomóc, aby na nowo obudzić ów dramat relacji każdego z nas z Chrystusem. Tematem na jutrzejszy dzień jest nasze życie. Jutro odbędą się dwa spotkania pytań, z wolnej stopy: jedno rano i jedno po południu, podczas których każdy będzie mógł mówić o sobie, o pytaniach, które ma, o trudnościach, na jakie napotyka w propozycji Rekolekcji Bractwa, bez uwag, bez pośrednictwa czegoś innego. Niech każdy wykaże się odpowiedzialnością w obliczu Chrystusa, wobec tego, co w jego życiu się wydarzyło. Będziemy sobie naprawdę towarzyszyli przede wszystkim przez poważne potraktowanie pytań, jakie mamy, wspólnie je podejmując. Aby być razem nie musimy lękać się podejmowania tychże pytań: nie musimy odwracać głowy w drugą stronę z lęku przed zbyt wielkimi pytaniami bądź z powodu trudności czy poczucia ciężaru, jaki odczuwamy.

Jesteśmy razem, aby pomagać sobie patrzeć. Oby nikt nie był zmuszony do powrotu do domu bardziej skostniały: tutaj każdy może być sobą, może wyrazić siebie, czując się objęty przez wszystkich. Będziemy próbowali odpowiadać na pytania w taki sposób, aby wędrówka każdego stała się wyrazistsza, jaśniejsza. Zaczniemy zatem błagać ks. Giussaniego, aby podał nam dłoń w tych dniach i Matkę Bożą, by nam towarzyszyła, aby każdy mógł powrócić do swego domu jeszcze bardziej zafascynowany Chrystusem.

## LEKCJA

---

### **Julián Carrón**

Jak okazało się wyraźnie wczoraj, na nowo, podczas spotkania pytań, naszą trudnością, jako autentycznych dzieci naszego czasu, tzn. ludzi współczesnych, jest to, by rozpoznać „Coś wewnątrz czegoś”, a to oznacza, że dokonujemy pewnej redukcji rzeczywistości do pozorności, i zatem przeżywamy relację z rzeczywistością, która „przekreśliła [wyrzuciła poza nawias]” Tajemnicę, „owo Coś, co jest wewnątrz czegoś”. To jest właśnie to, co możemy nazwać dualizmem: z jednej strony rzeczywistość a z drugiej Tajemnica. Każdy z nas może zobaczyć [zweryfikować] do jakiego punktu tak jest, pytając zwyczajnie siebie, co się wydarzyło dzisiejszego ranka: ilu, patrząc na rzeczywistość, powiedziało dziś rano „Ty” do Tajemnicy, stwarzającej rzeczywistość czy stwarzającej ja, budzące się tego ranka? Kto tego ranka doznał wzruszenia z powodu darmości faktu, że On jest, ponieważ Tajemnica jest, ponieważ moje ja, ze wszystkimi jego ograniczeniami, już jest ogarnięte przez Jego obecność (a zatem jest pogodne, jest wdzięczne)? I my wszyscy, kiedy zdajemy sobie z tego sprawę, uświadamiamy sobie, jak bardzo Tajemnica, w naszej bezpośredniej relacji z rzeczywistością nie jest nam jeszcze bliska: jest zatem tak, iż z jednej strony mamy Tajemnicę oderwaną od rzeczywistości, z drugiej zaś w pełni ukonstytuowane ludzkie ja, do którego następnie coś zostaje dodane.

Ów dualizm, który może się pojawić już w chwilę po pierwszej relacji z rzeczywistością, staje się początkiem zwycięstwa nihilizmu, jako że pozorność nie będzie w stanie pociągnąć za sobą ja, tzn. zainteresować je przez dłuższy czas: po jakimś czasie po prostu przestanie nas interesować. Jest to do tego stopnia prawdziwe, że jak mi powiedziano, tego ranka ktoś z was postawił pytanie: „A jeśli brakuje pragnienia?”. Oto przykład ja, w którym nie ma już pragnienia. To jest właśnie ów nihilizm, o którym kilka lat temu mówił Augusto del Noce: „Współczesny nihilizm jest nihilizmem nie do końca poważnym, w takim sensie, że pozbawiony jest niepokoju. Być może, moglibyśmy określić go jako zdławienie [stłumienie] Augustynowego „inquietum cor meum”. Brakuje owego niepokoju pragnienia w ludzkim ja: to jest właśnie znak nihilizmu, jaki nas dotyczy.

Jasnym staje się to, co mówił ks. Giussani w jednym z Tischreden: prawdziwym problemem jest to, że nie ma już wychowania oraz że brakuje pewnej metody. I opowiadał taki oto epizod dotyczący syna Manzù, ucznia, który chodził do swego księdza z parafii i opowiadał mu o tym, czego uczył się od ks. Giussaniego, czytając tamtemu swoje notatki. W odpowiedzi ów ksiądz miał mu radzić: „Widzisz tamten komplikuje sprawy, podczas gdy religia jest czymś prostym”. Miałoby to oznaczać, iż racje komplikują, poszukiwanie racji komplikuje, i często nam samym wydaje się to być niemal tym samym: wykonywanie pewnej pracy komplikuje życie, poszukiwanie racji komplikuje. Tymczasem ks. Giussani mówił: „Nie, wręcz przeciwnie, to niczego nie komplikuje, lecz oświeca”.

To właśnie skutek takiego postawienia sprawy, z powodu braku metody, Chrystus przestał być autorytetem, stał się natomiast sentymentalnym przedmiotem, a Bóg, zamiast

być przyjacielem jest jakimś straszakiem czy zmorą. Wskutek braku metody wszystko właśnie staje się sentymentalne.

My natomiast mamy szczęście, gdyż ks. Giussani pozostawił nam metodę, aby przezwyciężyć ów dualizm, a zatem i nihilizm. Stąd też dzisiaj, gdy po raz pierwszy po jego odejściu spotykamy się jako Zgromadzenie Międzynarodowe Odpowiedzialnych, musimy podjąć decyzję, jak powiedziałem też do Gruppo Adulto, każdy z nas musi podjąć decyzję wobec jego dziedzictwa: czy podjąć na serio jego dziedzictwo, tzn. tę metodę, która pokonuje nihilizm [wygrywa z nihilizmem] albo czy poddać się sentymentalnej redukcji, jakiej on zawsze się przeciwstawiał. Wziąć na serio jego dziedzictwo, oznacza potraktować poważnie jego metodę: utożsamić się z księdzem Giussanim oznacza utożsamić się z jego metodą (nie ma to absolutnie nic wspólnego z sentymentalizmem!). Tylko w ten sposób można stać się naprawdę przyjacielem. W przeciwnym razie, jak mówił zawsze ks. Giussani o Chrystusie, nie będzie on już dla nas autorytetem. Jeśli nie potraktujemy na serio jego metody, ks. Giussani przestanie być dla nas autorytetem a – chcąc nie chcąc – stanie się jedynie obiektem sentymentalnych wspomnień.

To, co on nam pozostawił jest przewrotem na miarę epoki, odpowiadającym na dramat naszych czasów, na dramat, z jakim jesteśmy powołani do przeżywania wiary chrześcijańskiej. Zostaliśmy powołani w tym momencie, w tej historycznej epoce, nie mającej równych sobie, a charakteryzującej się następującą trudnością: wrogością wobec Tajemnicy w sposobie patrzenia na rzeczywistość. Ksiądz Giussani powiadał ciągle, iż kultura, w jakiej żyjemy, nade wszystko utrudnia poznanie miłosne, dlatego nazywał ją śmiertelnym wrogiem naszego przeznaczenia, naszego ja, ponieważ jest zdeterminowana przez władzę. Kultura ta natomiast narzuca inny typ poznania, błędnego, zredukowanego, czyniąc wszystko, by uniemożliwić owo miłosne poznanie. Ksiądz Giussani na tę realną trudność historyczną - o której mówi także Maria Zambrano: „Tym, co jest w kryzysie, to owa tajemnicza więź łącząca nasz byt z rzeczywistością, coś najgłębszego i podstawowego, będącego naszą wewnętrzną karmą” - odpowiada swoją propozycją i swoją metodą.

Tym, co przeżywa kryzys, to nasza relacja z rzeczywistością, sposób, w jaki odnosimy się do rzeczywistości od pierwszej chwili, kiedy rankiem otwieramy nasze oczy. Lecz jeśli właśnie to jest w kryzysie, i jeśli „naszą wewnętrzną karmą” jest owa więź z rzeczywistością, wówczas nie istnieje już to, co karmi, czym żywi się nasze życie. Skąd więc czerpiemy „karmę” dla życia, skąd będziecie ją czerpać każdego ranka, aby patrzeć na samych siebie, aby patrzeć na wasze dzieci, aby iść do pracy w inny sposób? Skąd czerpicie ową „karmę”? Możemy potem miotać się przez cały dzień, lecz nie ma naszej „karmy”.

Jeśli nie rozumiemy, iż tym, co w znacznym stopniu zostało zniszczone jest właśnie więź z rzeczywistością, to nie pojmujemy aż do końca epokowego przewrotu charyzmatu księdza Giussaniego, redukując go zatem do czegoś tylko sentymentalnego, jakby chodziło o jakąś grupkę interesującą się duchowością bez rozumienia kulturowego znaczenia, będącego nadzieją dla własnego ja i dla świata. Bez zrozumienia tego możemy wyjść z tego spotkania albo co nieco skwaszeni albo pobudzeni; to jednak przetrwa – jeśli w ogóle przetrwa - najwyżej tydzień, i znów będziemy tacy, jacy byliśmy wcześniej. Nikt nie żyje tylko wspomnieniem o takim spotkaniu, jak to: jeśli tu się nie nauczymy, nie otrzymamy wsparcia do przeżywania więzi z rzeczywistością, będącą karmą codziennego życia, to tego typu spotkanie jest bezużyteczne.

Ksiądz Giussani jest odpowiedzią na ten kryzys nie tylko dlatego, iż udziela

adekwatnej odpowiedzi z punktu widzenia intelektualnego (gdyż wielu innych mogłoby udzielić właśnie takiej odpowiedzi), ale dlatego, iż dał nam metodę, co znajduje potwierdzenie w tym, iż tylko on zdołał stworzyć taki lud, jak nasz. To było przyczyną podziwu, jaki żywił von Balthasar dla księdza Giussaniego: ów geniusz intelektualny ze zdumieniem wpatrywał się w ów lud. Ksiądz Giussani zdołał stworzyć pewną metodę, sprawiając iż ta metoda stawała się odpowiedzią na kryzys; widać to na podstawie ludu z niego zrodzonego, który zdołał nie w sentymentalny, lecz naprawdę w bardzo świadomy sposób przezwyciężyć pewien dystans, stawiając przed nami ową zwycięską atrakcyjność, do tego stopnia, iż „nie moglibyśmy już dłużej żyć, gdybyśmy nie słyszeli Go, jak przemawia”.

## **I. Od zderzenia z rzeczywistością aż do Ty**

Pierwszy punkt owej metody zatytułowany jest: „Od zderzenia z rzeczywistością aż do Ty”. Opisał ją ks. Giussani w dziesiątym rozdziale Zmysłu religijnego. To właśnie tam, w syntetyczny sposób, uczy nas patrzeć na rzeczywistość aż po owo „Coś wewnątrz rzeczywistości”, aby zobaczyć to „Coś wewnątrz czegoś”.

Pierwszą sprawą w obliczu rzeczywistości jest to, by pozwolić uderzyć się przez nią. Jedną z rzeczy przeczytanych w tym roku, która niesamowicie mnie poruszyła, było zdanie napisane przez Giussaniego w 1946 roku (nie było jeszcze wtedy mowy o ruchu) do jego przyjaciela ks. Angelo Majo. W tych dwu liniijkach odśłania się już jego genialność. Jest to jakby synteza dziesiątego rozdziału Zmysłu religijnego: „Kilka wieczorów wstecz, zastanawiając się, odkryłem, że ty byłeś moim jedynym przyjacielem: nie z powodu jakiegoś sterylnego ekskluzywizmu, ale z racji owego niewypowiedzianego i totalnego drżenia w moim istnieniu w obliczu „spraw” bądź „osób”, których nie jestem w stanie zjednać sobie inaczej, jak tylko godnie z twoim sposobem reagowania”. „Owo niewypowiedziane drżenie w obliczu spraw i osób”: oto według ks. Giussaniego kryterium przyjaźni. Ktoś jest przyjacielem księdza Giussaniego, według tego kryterium, nie przez to, że doskonale przyswoił sobie „dyskurs”, albo jest znakomity czy bardziej spójny (to bowiem zazwyczaj nie trwa zbyt długo), ale dlatego, że tak jak on odznacza się owym niewypowiedzianym i totalnym drżeniem własnego istnienia wobec spraw i osób. Ksiądz Giussani uznał księdza Angelo Majo za przyjaciela, za „swojego” przyjaciela, nie z powodu jakiegoś „sterylnego ekskluzywizmu”, ale dlatego, iż odkrył, że był on jedynym, który reagował w pewien sposób. Przykro mi, ale tak jest: rzecz nie w tym, że ktoś o tym decyduje, ale że ktoś odkrywa, iż odznacza się owym niewypowiedzianym i totalnym drżeniem w obliczu spraw i osób. To wszystko, co on zrodził, wyrosło z faktu bycia poruszonym przez owo totalne drżenie rzeczy i osób, które on spotkał. Skądinąd, to jego kryterium zbieżne jest z kryterium osądu wypowiedzianym w Ewangelii przez Jezusa: „Z kim mam porównać to pokolenie? Podobne jest do przesiadujących na rynku dzieci, które głośno przymawiają swoim rówieśnikom: »Przygrywaliśmy wam, a nie tańczyliście [tzn. nie odczuwaliście owego drżenia], biadaliśmy, a wyście nie zawodzili«” (Mt 11, 16-17). To jest to samo, dokładnie to samo kryterium.

Stąd też musimy nauczyć się odczuwania owego uderzenia, doświadczania tego niewypowiedzianego i totalnego drżenia; warunkiem zaś jest to, byśmy nie odrzucali danych rzeczywistości. Ponieważ, jak genialnie wyraża to Hannah Arendt, „ideologia nie jest naiwną

akceptacją tego, co widzialne [tzn. rzeczywistości], lecz jej inteligentnym przekreśleniem”. My bowiem, już w następnym momencie – gdyż w pierwszym nie możemy – potrafimy przekreślić rzeczywistość. Stąd też musimy wychodzić zawsze od tego pierwszego, jedyne doświadczenia relacji z rzeczywistością: my już jesteśmy w rzeczywistości, nie musimy wcale w nią wchodzić, otwieramy oczy i odkrywamy, iż jesteśmy w rzeczywistości, jak dziecko, które otwiera oczy i odnajduje się w swoim pokoju.

Wszyscy pamiętamy początek dziesiątego rozdziału „Zmysłu religijnego”: „Wyobraźcie sobie, że rodzicie się, że wychodzicie z łona waszej matki w wieku, w jakim jesteście w tej chwili, z waszym obecnym stopniem rozwoju i świadomości. Jakie byłoby pierwsze, absolutnie pierwsze odczucie, tzn. pierwsza reakcja wobec rzeczywistości?”. Zdumienie. „Zdominowałby mnie podziw i zdumienie”. Byłbym zdominowany!. Musimy z wielką uwagą czytać słowo po słowie: „zdominowany” - powiada - nie lekko dotknięty, „zdominowany, ogarnięty przez pełne podziwu uderzenie obecnością [...], która jest konkretną [...] wersją słowa »byt«. Byt – nie jako abstrakt, lecz jako obecność”. Jeśli ktoś tak nie żyje, jeśli nie jest „zdominowany”, to jest jakby „człowiekiem dorosłym w pewnym sensie okaleczonym”. Stąd też pozbawiony jest pragnienia: nic nie jest w stanie go pobudzić! Lecz ten, kto jest zdominowany przez obecność bytu, przez uderzenie bytu natychmiast zdaje sobie sprawę z tego, że rzeczywistość nie jest jego, a zatem, że jest on bytem zależnym.

Nie będę się tutaj zatrzymywał nad wszystkimi krokami tego rozdziału, proszę was, byście sami go czytali, aż stanie się wam bliski: owo spojrzenie na rzeczywistość, idąc krok za krokiem, nie może nie doprowadzić do powiedzenia: „Ty”. „Do tego punktu, kiedy przebudzone jest w swoim bycie przez obecność, atrakcyjność i przez zdumienie...”. Spójrzcie, to właśnie to spotkanie z rzeczywistością, to „zderzenie” z nią, jest tym, co sprawia nasze przebudzenie. Jeśli kryzysowi podlega więź z rzeczywistością, wówczas ja nie jest przebudzone, i ktoś dochodzi do stwierdzenia: „A jeśli pragnienie nie istnieje? Jeśli ktoś nie odczuwa pragnienia?”. Nie narzekajcie na brak pragnienia: tym, co przeżywa kryzys jest właśnie relacja z rzeczywistością; jeśli ktoś nie odnajdzie drogi, by odbudować relację z rzeczywistością, nie będzie już odczuwał pragnienia: „Z chwilą, gdy przez obecność, ciekawość lub zdumienie człowiek jest obudzony w swoim istnieniu, co czyni go wdzięcznym i radosnym, ponieważ ta obecność jawi się jako dobroczynna i opatrnościowa, staje się on także świadomy siebie w swoim ja i podejmuje owo początkowe zdumienie z głębią, która decyduje o znaczeniu i wymiarze jego tożsamości”.

Wymiar mojej tożsamości, mojej świadomości zależy od uświadomienia sobie tego zdumienia rzeczywistością; testem na to, że nie przekreśliłem rzeczywistości, że chwilę później nie zwycięży we mnie ideologia jest to, że moje ja jest przebudzone, że jest wdzięczne i radosne.

„W tym momencie, jeśli jestem uważny, tzn. jeśli jestem dojrzały, nie mogę zaprzeczyć, że najwyższą i najgłębszą oczywistością, jaką postrzegam, jest to, że ja nie czynię sam siebie, nie tworzę samego siebie. Nie daję sobie istnienia, nie daję sobie rzeczywistości, jaką jestem, jestem czymś „danym”. Odkrycie siebie samego, jako zależnego od czegoś innego, jest niezwykle doniosłą chwilą”. To jest właśnie owo „Coś wewnątrz czegoś”.

„Im głębiej wchodzę w samego siebie, jeśli docieram do sedna sprawy, wówczas pytam, skąd wypływa moje istnienie? Nie ze mnie: z kogoś innego. [...]. Chodzi tu o intuicję owej tajemniczej obecności [...], z której czerpała swą istotną treść każda jego chwila, jego

własne ja. Ja jestem „tobą-który-mnie-czynisz”. [...] Używam słowa „ty” - kontynuuje ks. Giussani - ponieważ [...] jest ono najbardziej odpowiednie [...]. Kiedy przyglądam się sobie i stwierdzam, iż ja nie czynię siebie sam, wówczas [...] używam słowa „ty” ze świadomym i pełnym miłości drżeniem [...]”. Komu się to przydarza każdego ranka, kiedy wypowiada „ja”? Pierwszą sprawą A całe późniejsze zamieszanie w ciągu całego dnia nie da nam nawet odrobiny tego świadomego i pełnego miłości drżenia. „Kiedy przyglądam się sobie i stwierdzam, iż ja nie czynię siebie sam, wówczas do tego Czegoś, co mnie czyni, do źródła, z którego wypływam, nie mogę się zwrócić inaczej, jak tylko używając słowa „ty”, ze świadomym i pełnym miłości drżeniem, jakie dochodzi do głosu”.

„Głęboka świadomość siebie przeczuwa u podstaw samego siebie Kogoś Innego [Coś wewnątrz czegoś]. Tym – uwaga! – jest modlitwa”. Nie czynię tego, kiedy nie rozumiem, nie, nie: owo uświadomienie sobie, taka „głęboka świadomość samego siebie, która zderza się z Kimś Innym”, nazywa się modlitwą. Rozpoznanie owego Ty, który mnie stwarza przyprawia nas o wzruszenie.

Powiada Jeremiasz: „Ukochałem cię odwieczną miłością, dlatego też zachowałem dla ciebie łaskawość [dosłownie z j. włoskiego: dlatego powołałem cię do istnienia, litując się nad twoją nicością, nędzą]” (Jer 31, 3). Jeśli nie dochodzimy do powiedzenia: „Ty”, tak, aby poczuć się ukochanymi już od samego początku, nie ma nadziei dla życia. Nadzieja nie bierze się z tego, co czynię, lecz ze świadomości, iż jest ktoś, kto umiłował mnie odwieczną miłością, który powołuje mnie w każdej chwili, litując się nad moją nicością, nędzą. Ale ja muszę uznać owo Ty. Jak powiada ks. Giussani w książce „Ty” (czyli o przyjaźni), „najtrudniejszymi słowami są te, które objaśniają związek pomiędzy wydarzeniem a spotkaniem oraz między wydarzeniem a Bytem, który za nim stoi, który w nim jest: relacja z Bytem”. My natomiast zatrzymujemy się na powierzchni: i dlatego najtrudniejszymi słowami są te, które objaśniają związek pomiędzy wydarzeniem i Bytem, owym Ty, które za nim stoi, który jest w nim.

Dla kogoś, kto tak przeżywa rzeczywistość, owo rozpoznanie powinno być czymś prostym. „Uznanie rzeczywistości jako pochodzącej od Tajemnicy winno być czymś prostym dla rozumu, ponieważ właśnie przez uznanie rzeczywistości takiej, jaka ona jest, jaką chciał ją Bóg, a nie zredukowaną, spłyconą, pozbawioną głębi [...] wypełnia się aż do końca możliwość rozumu i afektywności, jaką mamy [abyśmy byli szczęśliwi]. Rozum bowiem, z racji swego oryginalnego dynamizmu nie może wypełnić się inaczej, jak właśnie przez uznanie rzeczywistości, zanurzającej się w Tajemnicy”. Stąd też uznanie Jej, jeśli ktoś jest prawdziwie wychowany do właściwego używania rozumu, powinno być dla niego czymś prostym i bliskim.

„Jest jednak w sercu człowieka pewna rana, sprawiająca iż coś się w nim wypacza, tak iż nie jest on w stanie wytrwać w prawdzie jedynie o własnych siłach, ale zwraca on uwagę i pragnienie na rzeczy cząstkowe i ograniczone. Pierwotny zamysł, czyli to, do czego człowiek jest stworzony, został wykrzywiony wskutek arbitralnego używania wolności [...]. Doświadczeniem każdego kolejnego dnia jest to, iż ludzie dążą do utożsamienia pełni życia z czymś, co jest cząstkowe i ograniczone. Wyjście zaś z owej cząstkowości nie jest w naszych dłoniach [stąd też nie narzekajmy!]: nikt z nas, sam z siebie, nie potrafi przywrócić sobie prawdziwego spojrzenia na rzeczywistość”.

## II. Tajemnica w historii

Aby to umożliwić Tajemnica wkroczyła w historię. Aby uczynić możliwą rzeczą wejście w zażyłość w Tajemnicę, sama Tajemnica wkroczyła w historię: bez tego, tzn. bez tej historycznej ścisłej pomocy nigdy nie zdołalibyśmy osiągnąć prawdziwego spojrzenia na rzeczywistość.

„Chrześcijaństwo jest orędem o Bogu, który stał się człowiekiem [...] w określonym miejscu i w określonym czasie. Tajemnica stojąca u korzeni wszystkich rzeczy zechciała dać się poznać człowiekowi”, poprzez pewien historyczny fakt. Tajemnica nie zmieniła metody: stała się częstką rzeczywistości, prezentując atrakcyjność, mającą ułatwić ludzkiemu ja, czyli każdemu z nas, odzyskanie tego prawdziwego spojrzenia na rzeczywistość.

To jest właśnie to, co ks. Giussani opowiada o pierwszym momencie spotkania Jana i Andrzeja z Jezusem. Powrócili wówczas do domu z pewnością: „Znaleźliśmy Mesjasza”, co oznacza, że nie zredukowali spotkania już na samym początku, ale od pierwszego momentu odkryli owo Coś wewnątrz owego spotkania.

Przeczytajmy pewne zdanie wyjęte z książki Doświadczenie jest drogą do prawdy: „Niekiedy objawia się niczym błyskawica we mgle [dla owych dwóch, którzy wstali tamtego ranka, tak samo jak w poprzednich dniach objawił się niczym błyskawica we mgle], a przecież owo przelotne objawienie się pozostawia w nas pewność odnalezienia - używając gry słów - »czegoś wewnątrz czegoś«”. I ks. Giussani komentuje: „W jaki sposób ci dwaj [...] tak od razu pozwolili się zdobyć oraz rozpoznać Go [aż po stwierdzenie]: „Znaleźliśmy Mesjasza?”. Mamy tu do czynienia z pozorną dysproporcją pomiędzy najprostszym sposobem tego, co się wydarzyło a tymi dwoma”. Pozorna dysproporcja: ludzkie spotkanie oraz pewność.

„Jeśli ów fakt się wydarzył, to uznanie tego człowieka, tego, kim on był – nie dogłębnie czy detalicznie, ale w jego jedynej i z niczym nie porównywalnej wartości – [...] powinno być prostą sprawą”. Pojęli to od pierwszego momentu. „Dlaczego było czymś prostym uznanie tego? Z powodu pewnej nie mającej równej sobie wyjątkowości. Mieli przed oczyma ową nie mającą równej sobie wyjątkowość: nawiązali kontakt z wyjątkowym człowiekiem, absolutnie nie tuzinkowym, nie dającym się sprowadzić do jakiegokolwiek analizy”. I w tym to właśnie uchwycili, że istniało jakieś Coś wewnątrz czegoś wyjątkowego: „To jest Mesjasz!”. „Co znaczy owo »wyjątkowe?«. Kiedy coś możemy określić jako „wyjątkowe?”. Wówczas, gdy odpowiada ono w adekwatny sposób na pierwotne wymogi serca, jakkolwiek pogmatwana i zamglona może być świadomość tego”.

To właśnie owa wyjątkowość jest tym, co ułatwia rozpoznanie tego. „Ów człowiek dla Jana i Andrzeja w niewyobrażalny sposób odpowiadał niepoahamowanym i niezaprzeczalnym wymogom serca. Nikt nie był taki, jak ów człowiek”. Dlatego nie możemy tego zredukować. Nikt nie był taki, jak właśnie ów człowiek. „Kimże on jest?”.

„Nie tylko było łatwo go rozpoznać: czymś bardzo prostym było przeżywanie z nim relacji. Wystarczyło przylgnąć do owej sympatii, którą wzbudzał, do owej głębokiej sympatii, podobnej do jakiejś zawrotnej i cielesnej sympatii dziecka w relacji do swojej matki, która jest sympatią w najpełniejszym tego słowa znaczeniu. Dziecko może popełnić tysiąc błędów w ciągu dnia wobec swojej matki, ale biada, gdyby je od niej zabrać!”. Oto zwycięstwo nad dualizmem: przylgnięcie takie, jak przylgnięcie dziecka do matki, owa

niesamowicie potężna fascynacja, która pociąga za sobą całe ja, za pomocą owej jedynej, cielesnej sympatii; sympatia cielesna, żadna „duchowa” czy „ascetyczna”, ale właśnie cielesna, taka, jak dziecka wobec mamy. Jeśli tak nie jest, to dualizm nigdy nie zostanie zwyciężony.

Dlatego Tajemnica objawiła się w historii, aby postawić przed naszymi oczyma ową potężną atrakcyjność zdolną do pociągnięcia ja, w przeciwnym razie będziemy niczym zabłąkana mina, a każdy z nas będzie robił to, co mu się wydaje i podoba; nie z powodu jakiejś złości, ale ponieważ sami z siebie, za pomocą naszego wysiłku nie jesteśmy w stanie „przylgnąć”: tylko owa atrakcyjność sprawia, iż rodzi się w nas jakaś głęboka sympatia względem Jezusa. Kiedy ktoś zaczyna to przeczuwać, to jakże może nie uchwycić ze zdumieniem, w jakiejkolwiek rzeczy, która żyje, potrzeby Jego obecności („Ja jestem tym, którego braku doświadczasz”)? To tak, jak ktoś, kto doświadczył odpowiedniości z ukochaną osobą: gdy samotnie ogląda zachód słońca, to czyż nie brakuje mu osoby ukochanej? I to nie dlatego, że musi być dobrym mężem czy dobrą żoną, ale dlatego, że mu brakuje osoby kochanej: w relacji ze wszystkim czegoś mu brakuje.

Tylko wtedy, gdy to wydarzenie trwa w teraźniejszości jako towarzystwo, istnieje możliwość nadziei, jest możliwość przezwyciężenia dualizmu, i zatem również nihilizmu: towarzystwo, w którym Chrystus, Tajemnica, taka, jak doświadczyli jej Andrzej i Jan, pozostaje obecna. Możliwość nadziei przejawia się tym, iż pozostaje pośród nas jako wydarzenie. Nie wystarcza jakaś organizacja, potrzebne jest wydarzenie, potrzebne jest nieustanne ponawianie się owego wydarzenia, mającego tak potężną fascynację. My odrywamy, że to wydarzenie trwa nie na skutek rozwinięcia logiki rozumowania teologicznego: odkrywamy to, nade wszystko o ile wywołuje ten sam efekt, jaki widzieliśmy, iż miał miejsce u Jan i Andrzeja, o ile wydarza się wciąż na nowo jako wydarzenie i zatem budzi pełnię ja, pociągając je do tego stopnia, że wzbudza tę sympatię, jaka nas wiąże, jaka nas skleja i która w ten sposób wciąż na nowo nas otwiera na oścież.

### **III. Trwanie wydarzenia**

Chrystus wspiera twoje i moje ja w wędrówce ku przeznaczeniu, tzn. ku temu, czego pragnie serce, stając się towarzystwem.

„Towarzyszy ci w fizyczny sposób poprzez towarzystwo, w którym cię postawił. On staje się dla ciebie [...] [i dla mnie] obecny w tym towarzystwie. Poprzez towarzystwo tych, których powołał tak, jak ciebie, Chrystus przyciąga nas do siebie: to towarzystwo jest właśnie obecnym Chrystusem. Obecnością Chrystusa jest towarzystwo tych, których powołał tak, jak ciebie. To towarzystwo jest Chrystusem w jego ludzkiej realności, jest ciałem Chrystusa, który uobecnia się dla ciebie, do tego stopnia, iż Go dotykasz, widzisz Go, słyszysz. Jego wartość jest znaczenie głębsza od tego, co możesz zobaczyć [to jest to „Coś wewnątrz czegoś”]; tym zaś, co widzisz, jest tajemnica Chrystusa, który tobie się objawia. „Ciało” [Ciało Chrystusa] nie wyraża tego wszystkiego, czym ktoś jest. Wyraża to, co się objawia i co się pozwala dostrzec z tego, kim ktoś jest. Lecz to objawienie się jest rzeczywiste [...]. Ciało jest czymś realnym, doświadczalnym. A my jesteśmy częścią Jego ciała, którego głębia jest znacznie większa od tego, co się widzi, posiada wartość wykraczającą poza ludzką rzeczywistość jej komponentów, ma korzenie, które zapuszcza w

nieznanej dla nas glebie: w ziemi Bytu, Tajemnicy. Ciało nie pozwala zobaczyć pełni osobowości, ale jest początkiem całej tajemniczej drogi wewnątrz osobowości. Tajemnica Chrystusa jest jak tajemnica naszego ja, które dokumentuje się w ciele. To, co się widzi, to, co się słyszy i to, czego się dotyka [...] objawia mi coś z tego, czym jesteś, coś z tajemnicy twojego ja [...]. Równocześnie to towarzystwo, w jakim Chrystus cię powołał i przez które przygarnia cię, objawia ci to, kim jest On jest dla ciebie: poprzez spojrzenie i zachowanie, jakie On wzbudza w tych, których postawił przy tobie – w pamięci – abyś ty bardziej poznał Chrystusa”. Stąd też „są osoby w towarzystwie, które pozwalają ci odczuć pamięć o Chrystusie w sposób dziesięciokrotnie łatwiejszy niż wszystkie inne osoby”. Prawdziwymi autorytetami są osoby wspomagające cię w twojej relacji do Chrystusa, abyś mógł odbierać i doświadczać Chrystusa, ponieważ one bardziej Go rozpoznają, bardziej Go słuchają i żyją pamięcią, nie dlatego, że więcej od innych o tym mówią, ale właśnie dlatego, że Go rozpoznają, są Mu posłuszne i żyją pamięcią.

„Poprzez to ciało rozumiesz Tajemnicę, która w nim zamieszkuje, owo Ja w nim się zawierające [to „Coś wewnątrz czegoś”], będące źródłem i przeznaczeniem wszystkiego [...]. Pojmowanie obecności pewnego towarzystwa w taki sposób, aby rozpoznać w nim tajemnicę Chrystusa obecnego jest szczytem wykraczającym ponad rozum: nazywa się to wiarą, o tyle o ile go przekracza”. Nie poznamy zatem naprawdę dogłębnie towarzystwa, jeśli nie dojdziemy aż do tego punktu, do wypowiedzenia Jego imienia. Kiedy obudziłem się dziś rano, to prosiłem Pana, aby uzdolnił mnie do tego, bym mógł pomóc wam wypowiadać to imię, w przeciwnym razie bowiem, jeśli nie dojdziecie do powiedzenia słowa Chrystus – przykro mi – ale stracie to, co najlepsze. Tym, co najlepsze, bowiem, jest owo niewypowiedziane i totalne drzenie, dochodzące do głosu w obliczu Ty. Można to zrozumieć za pomocą przytoczonego już porównania: piękny zachód słońca bez ukochanej osoby traci smak; wszystko może być najpiękniejsze, ale bez niej czy bez niego – podobnie jak, wtedy, gdy budzimy się rano i brakuje nam ukochanej osoby – jest pozbawione smaku. Dlatego właśnie interesuje nas Chrystus: nie dlatego, byśmy byli znakomitymi członkami ruchu [grzecznymi ciellinami], ale dla ja, dla ja każdego z nas, aby móc doświadczać owego niewypowiedzianego i totalnego drżenia w obliczu rzeczy i osób, tak jak doświadczał tego ks. Giussani. To zaś jest w najwyższym stopniu rozumne, jest szczytem wykraczającym ponad rozum: i nazywa się to wiarą.

„Rozum rodzi się w glebie doświadczenia [...], lecz zatrzymuje się - postępując zgodnie z właściwym mu dynamizmem - na progu pewnego „ponad, poza”, owego „ponad” związanego z doświadczeniem, ale wykraczającym poza nie, czegoś „większego” od zdolności wyobraźniowej i możliwości rozumu: nieskończoność, tajemnica. Rozum jest świadomością rzeczywistości w całokształcie jego czynników. Całokształt czynników rzeczywistości zakłada relację z nieskończonością, z tajemnicą, od której jego egzystencja ostatecznie zależy. [...] A jeśli nie dotrę do tego punktu nie jestem rozumny, ponieważ nie zostały wzięte pod uwagę wszystkie czynniki rzeczywistości”.

Tajemnica, czyli Chrystus okazał swoją czułość względem ciebie, wobec twojego, jak i mojego przeznaczenia, pozwalając nam spotkać takie miejsce, jak to, w którym przez sam fakt bycia w nim uczymy się wchodzić w zażyłość z Tajemnicą. Tym jest właśnie wychowanie, o którym mówił nam zawsze ks. Giussani: wprowadzenie w całokształt rzeczywistości. Jeśli nasze wychowanie, jeśli wychowanie, które dajemy w naszych wspólnotach nie dociera do tego punktu, nie jest wychowaniem właściwym ruchowi, nie jest

tym, czego on nas zawsze uczył, nie jest właściwym korzystaniem z rozumu, gdyż nie bierze pod uwagę wszystkich czynników rzeczywistości. Tajemnica, która nas stworzyła, okazuje nam taką czułość, pozwalając nam spotkać to miejsce, w którym zażyłość z nią staje się za każdym razem coraz większa: bez zażyłości z Tajemnicą, bez owego punktu ucieczki, człowiek dusi się w rzeczywistości, w okolicznościach, w życiu.

Interesuje nas zatem i opłaca się nam pójście za. Stąd też ktoś, kto intuicyjnie czuje, że to mu się opłaca, mówi: „Idę razem z nimi”, tzn. nadal idzie za jakąś osobą, za pewnym towarzystwem, w którym poczuł ów nowy powiew, „nowy powiew obietnicy życia - pisze ks. Giussani – przeczuleś Obecność odpowiadającą oczekiwaniom twego serca [...]. W ten sposób tajemnica Boga, który w przeciwnym razie byłby czymś niesamowicie odległym, abstrakcyjnym, staje się pilną potrzebą w codziennym twoim życiu: podpowiedzią, aby spoglądać na niebo i na ziemię, emocja i wzruszenie w otwarciu na oścież serca w obliczu preferencji”.

Pójście za jest zawsze pewnym początkiem, jest wciąż ponawiającym się początkiem. Dlatego potrzebny jest nam autorytet, który nieustannie będzie otwierał na oścież serce: autorytetem jest ktoś, kto bardziej uobecnia, kto ułatwia rozpoznawanie Tajemnicy; jest on wsparciem dla wolności, w trwaniu wobec Tajemnicy, jest nam potrzebny, abyśmy nie ulegali naszym miarom, abyśmy się nie zamykali. Stąd też nasze towarzystwo nie jest po to, by cenzurować dramatyczność życia, ale aby ją budzić, aby budzić ów dramat naszej relacji z Tajemnicą. W przeciwnym razie, jak to już mówiliśmy, będziemy wyzuci z pragnień.

Nasza nadzieja, nadzieja, iż nasze ja nie zostanie spłycone – jak kamień, dla którego zachód słońca znaczy tyle, co nic – jest nadzieją co do czegoś obecnego, czegoś, co nas wychowuje i nieustannie otwiera na rzeczywistość, aż po Tajemnicę włącznie, w taki sposób, byśmy mogli żyć z coraz większą intensywnością. Zbawienie nie jest tylko czymś z poza, ale jest ową intensywnością, której zaczęliśmy doświadczać; przez to właśnie obudziło się w nas pragnienie czegoś więcej, pragniemy czegoś więcej: chcemy tej intensywności zawsze, chcemy jej w każdym momencie, w każdej okoliczności. Dlatego coraz bardziej i wciąż na nowo potrzebujemy owego miejsca, które we wszystkim pozwala nam doświadczać takiej intensywności.

## SYNTEZA

---

### **Julián Carrón**

„Pan króluje: wesel się ziemio, radujcie się liczne wyspy! [...] Jego błyskawice świat rozświetlają: a ziemia drży na ten widok” (Ps 97, 1.4). My wszyscy każdego dnia stajemy wobec tej Obecności, która przyprawia ziemię o drżenie. Potrzebujemy nieustannie widzieć owe błyskawice, rozświetlające świat, ponieważ w ten sposób i my możemy drżeć, może zadrzeć nasze ja.

Z kolei w innym psalmie czytamy: „Odnów nas, Boże i rozjaśnij nad nami swoje oblicze, a będziemy zbawieni” (Ps 80, 4). Wszyscy potrzebujemy, aby to odnawianie się dokonywało się nieustannie. Nie lękajcie się waszej kruchości: ona jest czymś nieuchronnym. Nie należy się zbytnio przejmować tym, iż się poddajemy, że upadamy: jesteśmy bowiem biedakami. Wszyscy potrzebujemy być nieustannie odnawiani, potrzebujemy tego, by Pan rozjaśniał swoje oblicze tak, abyśmy byli zbawieni! I to jest właśnie to, o co powinniśmy nieustannie błagać, nie zaś o to, byśmy przestali być słabi, ponieważ słabymi pozostaniemy aż do końca (dziecko nie boi się swej słabości, gdy jest w obecności mamy). Musimy prosić o to, o czym mówi psalm: „Rozjaśnij nad nami swoje oblicze, o Chryste: Twoje piękno, Twoją atrakcyjność wobec nas tak, abym na nowo mógł doświadczyć teraz tej zbawiającej Obecności”. Pan, od samego początku, nieustannie wychodzi naprzeciw twojej i mojej potrzebie, kiedy jesteśmy wierni pewnym gestom. Dlaczego na początku dnia odmawiamy psalmy? Czy dlatego, że jesteśmy porządnymi członkami ruchu [dosłownie: grzecznymi ciellinami]? Nie, czynimy to, ponieważ potrzebujemy owego odnawiania się, ponieważ potrzebujemy widzieć Jego oblicze, Jego błyskawice Jego atrakcyjność.

„Słyszysz o tym i cieszy się Syjon”. Nasza radość, nasze radowanie się zależy od słuchania tego, co wydarza się na naszych oczach: „radują się miasta Judy z Twoich wyroków, o Panie! Ponad całą ziemią Tyś bowiem wywyższony i nieskończenie wyższy od wszystkich bogów” (Ps 97, 8-9).

Każdego dnia, najdrożsi przyjaciele, otwiera się na nowo ów dramat, Pan wychodzi nam naprzeciw i wciąż na nowo go otwiera. Lecz na czym polega problem, o którym mówiliśmy na początku? Na tym, iż w sytuacji dualizmu, a więc i nihilizmu, wszystko, co słyszymy, odbierane jest przez nas w abstrakcyjny sposób, czyli jest równe zeru. Czasy są naprawdę dramatyczne z powodu upadku „ja”, z powodu nihilizmu, którego nie traktujemy poważnie: bez nieustannego dotyku rzeczywistości, owego splendoru Jego oblicza, które wciąż na nowo nas budzi, które przez rzeczywistość wychodzi nam naprzeciw, nie doświadczamy zbawienia, nie jesteśmy sobą, to zaś przyczynia się do naszego ciągłego upadania.

Piękno wstawania o poranku polega na tym, iż nie jesteśmy pozostawieni sami sobie z naszą nicością, z naszymi odczuciami, z naszymi nastrojami czy naszym odbiorem. Dziś jesteśmy tutaj, a Pan, odkąd otworzyliśmy oczy, wyszedł nam naprzeciw na tysięczne sposoby: przez piękno otaczającej nas rzeczywistości, twarze przyjaciół, przez śpiew,

odmawianie „Anioł Pański” czy Psalmów...

Pan, każdego ranka wychodząc nam na spotkanie, podejmuje wciąż na nowo walkę z dualizmem, z nihilizmem: nie pozostawia nas samymi. A my wszyscy w tych dniach – jak daliście mi tego świadectwo na różne sposoby – zobaczyliśmy, jak to się wciąż na nowo wydarza na naszych oczach. I nie w tym rzecz, że brakuje Chrystusa, że On nie przychodzi nieustannie: rzecz w tym, iż to my potrzebujemy nauczyć się tego, by tak jak ks. Giussani, stawać wobec rzeczywistości, ponieważ bardzo często my już w następnej chwili tę rzeczywistość przekreślamy. Jak powiedziała mi tego lata pewna osoba: „To prawda, że rzeczywistość przychodzi jako pierwsza, lecz niekiedy wydaje mi się być tak bardzo „chora”, iż natychmiast ją cenzuruję, do tego stopnia, że na pierwszy plan wysuwa się moje myślenie o niej”. W tej pierwszej myśli, o której mówiła nasza przyjaciółka, zaczyna zwyciężać dualizm i to nie w jakiś czas później, lecz prawie natychmiast, w następnej chwili: na tym polega właśnie danie pierwszeństwa temu, co się myśli i czuje wobec rzeczywistości, o zderzeniu, „starciu się” z rzeczywistością.

Mówił kilka lat temu ks. Giussani: „Rzeczywistość pojmowana jest według pewnego a priori, zdeteminowanego przez postawę, jaką ktoś zajmuje wobec niej”. To jest właśnie to, co przekreśla rzeczywistość. Ale uwaga, my nie możemy, już od pierwszej chwili, nie zderzyć się z rzeczywistością: absolutnie pierwszym momentem jest zdumienie, coś, co nas uderza. Lecz już w następnej chwili górę może wziąć moja myśl, nawet jeśli nie do końca zdaję sobie z tego sprawę: przed rzeczywistością pojawia się najpierw moja myśl o niej.

Nie sposób uniknąć owego starcia z rzeczywistością. Wszyscy tego ranka zobaczyliśmy piękno gór! Ale w ilu spośród nas górę wzięło to coś „danego”? Wiele razy, już w następnej chwili wdiera się jakieś: „Tak, ale dziś...”. W normalnym życiu nie możemy uniknąć owego absolutnie pierwszego zderzenia z rzeczywistością, ale już chwilę później górę bierze pewne zatroskanie, jakiś nastrój („Tak, ale dziś...”): w następnej chwili odrzucamy ją. Ów drugi moment jest już jednak wyborem wolności. I to jest właśnie to, o czym mówi ks. Giussani w dziesiątym rozdziale Zmysłu religijnego, odpowiadając na argument tych, którzy twierdzą, iż religia rodzi się ze strachu: jest to fałszem, gdyż strach jest właśnie owym drugim momentem. To z powodu wyboru dokonanego przez wolność rzeczywistość bywa odrzucana. Stąd też każdego ranka wciąż na nowo rozpoczyna się walka: czy poddać się owemu absolutnie pierwszemu uderzeniu Bytu czy też pozwolić, by górę wzięło coś zupełnie innego. Tym właśnie jest ideologia. „Ideologia – jak już to cytowaliśmy za Hanną Arendt – nie jest naiwną akceptacją tego, co widzialne [rzeczywistości], lecz jej inteligentnym przekreśleniem”. Człowiek ma zawsze jakieś racje (im większą inteligencją się odznacza, tym więcej racji posiada), a przecież przekreśla rzeczywistość. Co natomiast świadczy o tym, że jej nie przekreśla? To, iż jest radosny i wdzięczny z tego powodu, że ona istnieje.

Nigdy przedtem nie słyszałem o bardziej skutecznym sposobie wyrażenia tego wszystkiego, jak właśnie w opowiadaniu Elsy Morante, w pewnej historii zamieszczonej w jednej z jej opowieści: „Był pewien esesman, którego pewnego dnia, o wschodzie słońca, prowadzono na szafot, z powodu straszliwych zbrodni, jakich się dopuścił. Pozostało mu jeszcze około pięćdziesięciu kroków do miejsca egzekucji, mającej się odbyć na więziennym dziedzińcu. W drodze na szafot jego wzrok przypadkiem spoczął na obdrapanym murze dziedzińca, z którego wyrastał jeden z tych kwiatów zasianych przez wiatr, rosnących gdzie popadnie i karmiących się, jak by się mogło wydawać, powietrzem i zaprawą murarską. Był

to mizerny kwiatusek, składający się z czterech jasnofioletowych płatków i kilku bladych listków; jednak w pierwszym blasku wschodzącego słońca ów esesman ze zdumieniem ujrzał w nim całe piękno i szczęście wszechświata. I pomyślał sobie: »Och, gdybym mógł cofnąć się wstecz i zatrzymać czas, byłbym gotów przeżyć całe moje życie, adorując ów kwiatusek«. I wtedy, jakby doznając w sobie jakiegoś rozdwojenia, usłyszał wewnątrz siebie swój własny głos, głos radosny, czysty chociaż odległy, niewiadomego pochodzenia, który w nim wołał: »Zaprawdę powiadam ci, z powodu tej ostatniej myśli, jaką wzbudziłeś na moment przed śmiercią, będziesz uratowany od piekła!«.

Potrzebowałem trochę czasu, aby ci to wszystko opowiedzieć, ale tam wszystko rozegrało się zaledwie w pół sekundy. Esesmana, otoczonego przez strażników oraz wyrastający z muru kwiatusek, dzieliła mniej więcej ta sama odległość: zaledwie jeden krok. »Nie!« – zawołał wewnątrz siebie esesman, z furią odwracając się za siebie – »nie dam się zwieść żadnej tego typu sztuczce«. A ponieważ obie ręce miał spętane, zerwał kwiatusek zębami, następnie rzucił go na ziemię, podeptał i wreszcie nań splunął”. I tak zakończyło się owo opowiadanie.

Walka z dualizmem rozgrywa się w owej pół sekundzie. Możemy czuć się pokonanymi, w ułamku sekundy ulec dualizmowi czy nihilizmowi. Owa walka nie ominęła nawet idącego na szafot esesmana: wszystko, czego dokonał, wszystkie zbrodnie, jakich się dopuścił (pomyślcie tutaj sobie, co chcecie), to wszystko, co zrobił nie mogło przeszkodzić mu w „starciu” z owym kwiatuszkiem: i dramat zaczął się na nowo. Jakie by to jego życie nie było, to intuicyjnie czuł, że „gdyby mógł cofnąć się wstecz i zatrzymać czas, byłby gotów przeżyć całe swoje życie, adorując ów kwiatusek”, ponieważ nawet ten tylko kwiatusek mógł być znakiem całej rzeczywistości. I dlatego: „Zaprawdę powiadam ci, z powodu tej ostatniej myśli, jaką wzbudziłeś na moment przed śmiercią, będziesz uratowany od piekła!”.

Tym, co nas ocala od piekła to poddanie się owej zwycięskiej, potężnej atrakcyjności kwiatka, bytu, tego wychodzącego ci naprzeciw bytu. Tu jednak tkwi istota rzeczy: cała atrakcyjność bytu ułatwiająca ci adorowanie, cała potęga atrakcyjności nie oszczędza twojej wolności: ten kwiatusek jest darem, to jest dar – jak powiedzieliśmy wczoraj – lecz ten dar nie oszczędza twojej wolności, nawet w marzeniach, dzięki Bogu, i dlatego potrzebuje twojego „tak”, twojego rozpoznania, potrzebuje twojej aktywności, która jest jakby pewną biernością, czymś, co trzeba przyjąć, wziąć. Ktoś jednak może powiedzieć („Nie, nie dam się zwieść żadnej tego typu sztuczce”). Nikt nie może oszczędzić nam takiej decyzji wolności. Na tym polega nasza ludzka wielkość i nasz dramat: ktoś może poddać się owej zwycięskiej, potężnej atrakcyjności albo może pozwolić, by górę wzięło jego „nie”. Ale to „nie” dokonuje się w drugim momencie.

Jesteśmy ocaleni od piekła jedynie dzięki temu, jeśli przyjmiemy, jeśli poddamy się temu uderzeniu rzeczywistości aż do tego punktu, iż zapagniemy przeżywać całe życie na adorowaniu, albowiem to tylko jest ocaleniem. Naszą decyzją każdego ranka winno być po prostu to: przyjąć czy odrzucić. To jest takie proste! Problemem nie jest kruchość czy bycie konsekwentnym, ale prostota serca, przyjmowanie, otrzymywanie, akceptowanie daru bądź jego odrzucenie. Tym bowiem, co przeżywa kryzys, przyjaciele, jest owa tajemnicza więź łącząca nasze ja z rzeczywistością.

Stąd nacisk ks. Giussaniego na rzeczywistość, na realizm. Nie przypadkiem bowiem tylko przyzwolenie, by owa atrakcyjność rzeczywistości uderzyła nas, przewycięża dualizm: Tajemnica nie jest żadną abstrakcją, wychodzi nam naprzeciw przez coś

pociągającego; jeśli jednak zwycięży ów dystans, to koniec z nami. Patrząc na przywołaną historię esesmana nikt nie może powiedzieć: „Ale przecież moja przeszłość, moja mentalność...!”. To są wyłącznie wymówki! Każdego bowiem dnia, ów dramat na nowo się otwiera: mogę się poddać rzeczywistości lub ją zanegować, nic jednak nie może przeszkodzić, by ów dramat się otworzył.

„Niczego nie przedkładać ponad miłość do Chrystusa”, powiedział papież Benedykt XVI, cytując Regułę św. Benedykta: niczego nie przedkładać ponad miłość do Chrystusa. Możemy wypowiadać to zdanie z pewną nabożnością albo powtarzać je w następujący sposób: niczego nie przedkładać ponad jakiś fakt, ponad fakt miłości do Chrystusa, ponad fakt bycia przygarniętymi; każdego ranka nie przedkładać żadnej własnej myśli, żadnego własnego wyobrażenia, rozczarowania ponad Fakt Chrystusa, ponad to, iż jesteśmy wybrani, stworzeni, czyli umiłowani: „Ukochałem cię odwieczną miłością, dlatego też podtrzymywałem dla ciebie łaskawość” (*Jer 31, 3*).

Mówienie każdego dnia, z całą świadomością, „Ty” do Tajemnicy, która mnie stwarza, jest uznaniem tego, iż jesteśmy kochani. Nieważne, co zrobiłeś wczoraj, bez znaczenia są twoje odczucia, ponieważ to, że masz owe odczucia pokazuje, iż ten ktoś Inny, który cię stworzył, ulitował się nad twoją nicością [nędzą]. Ty zaś możesz albo dać pierwszeństwo temu faktowi, dzięki któremu odczuwasz wszystko, nawet niedostatek, albo możesz dać pierwszeństwo czemuś innemu.

Zostałeś powołany do istnienia, to jest najbardziej wyrazista oczywistość, powiada nam ks. Giussani: nie istnieje oczywistość większa od tej, iż jesteśmy stworzeni. Stąd też jest Ktoś, kto cię stwarza, Ktoś, kto lituje się nad twoją nędzą, nad moją nędzą, obdarzając nas bytem: niczego nam nie potrzeba, nie potrzebujemy nawet tego, że wczoraj sprawy dobrze się potoczyły, potrzebujemy jedynie każdego ranka uznania tego.

Jakąż nadzieją dla każdego z nas jest każdy poranek, każdy moment dnia, cokolwiek by się nie wydarzyło, jakakolwiek by nie była okoliczność, którą przeżywam, w odkrywaniu tego Czegoś wewnątrz czegoś. Jakże inne byłoby życie, gdyby każdego ranka, w każdej chwili czuło, że jest przygarnięte! A to pozostaje w zasięgu naszej wolności. Alternatywą dla nas jest to, co mówił Sartre: „Moje ręce. Czym są te moje ręce? Nie dającym się zmierzyć dystansem dzielącym mnie od świata przedmiotów i na zawsze mnie od nich oddzielającym”: nihilizm. Jeśli zwycięży owo oddzielenie, wkracza nihilizm. Jeśli natomiast ktoś poddaje się owej zwycięskiej atrakcyjności bytu, to wszystko zostaje na nowo podarowane. Chrystus przyszedł właśnie w tym celu, aby pomagać nam odkrywać w rzeczywistości to Coś wewnątrz czegoś, by nas do tego wychowywać. On bowiem całą swoją osobą nie szukał niczego innego, jak właśnie tego, by wprowadzać nas w Tajemnicę.

„Jezus był takim samym człowiekiem, jak każdy inny [jest to jedno ze zdań, które nieustannie sobie powtarzam], był człowiekiem bez żadnych wyjątków; jednak ten człowiek mówił o samym sobie rzeczy, jakich nikt inny nie mówił, przemawiał i działał w sposób różny od wszystkich innych.. Znak wszystkich znaków. Jego rzeczywistość, raz poznana [metoda jest wciąż ta sama: najpierw rzeczywistość kwiatu, teraz rzeczywistość Chrystusa], była odbierana, postrzegana i traktowana przez tego, który został poruszony jego obecnością jako znak innej rzeczywistości, odsyłający do czegoś innego. [...]. Jezus nie wykorzystywał swojej atrakcyjności względem innych do tego, by przyciągać ich do siebie, ale by zbliżyć ich do Ojca”. Tym jest właśnie wychowanie! Jezus przyszedł na świat, stał się człowiekiem, pociągnął nas ku sobie nie po to, by nas zatrzymać przy sobie, lecz aby pociągnąć nas do

Ojca: „Przyciągał do siebie - kontynuuje ks. Giussani – po to, aby mógł doprowadzić do Ojca”, do tego punktu ucieczki, dającego nam oddech w każdej sytuacji.

Z tego powodu – drodzy przyjaciele – jesteśmy razem. Jeśli nie jesteśmy z tego powodu, to możecie sobie spokojnie odejść, ponieważ niczego nie tracicie. Jeśli nasze bycie razem nie służy temu nieustannemu otwieraniu nas na Ojca, na Tajemnicę, to życie staje się nieznośne, traci oddech i człowiek się dusi. Tymczasem jesteśmy z kimś razem dlatego, że ten ktoś nas nieustannie otwiera, pozwala nam być sobą właśnie dlatego, że nieustannie nas otwiera. „Ja” bowiem jest ową zdolnością otwarcia się na Nieskończoność, jest otwarciem się na pełnię: zostaliśmy stworzeni dla Nieskończoności (nie zaś dla jakiejś „dziury, nory”). Jeśli nie jesteśmy razem w tym celu, to nasze bycie razem prędzej czy później przestanie być dla nas interesujące.

Stąd wypływa dla każdego z nas pewna odpowiedzialność: ruch może być dla nas tylko pewną organizacją albo może stać się dla każdego z nas, a my jedni dla drugih, nieustannym przywołaniem dla naszego ja; każdy z nas dla towarzysza, którego ma u swego boku może być tym, czym był dla swoich Jezus: „Jezus nie wykorzystywał swojej atrakcyjności względem innych po to, by przyciągać ich do siebie, ale do Ojca, po to, aby mógł doprowadzać ich do Ojca. [...] W tym sensie wiara w Chrystusa przewyższa i czyni jaśniejszym zmysł religijny. Wiara objawia przedmiot zmysłu religijnego, do którego rozum nie potrafi się przybliżyć”.

To właśnie pewność wiary jest tą, która obejmuje ja, nieustannie otwierając je na oścież i co je wyróżnia, to jest nowość, jaką wprowadził w życie Jezus: uczestnictwo w pewnym historycznym fakcie, w pewnej historycznej rzeczywistości, realnej, konkretnej, ogarniającej „ja”, prowadzącej nas do Ojca, otwierającej nas na uznanie Go w szczytowej postaci rozumu (czyż ma to coś wspólnego z sentymentalizmem?), podobnie jak Jezus, który pociągał wszystkich ku Tajemnicy, ku temu Czemuś wewnątrz czegoś. Nie musimy tego podtrzymywać my: On istnieje, życie jest inne, ponieważ On jest. Nam zaś wystarcza rozpoznanie Go, nie odrzucanie Go już w następnej chwili, jak ów esesman. Esesman nie musiał zajmować się [troszczyć się] o zakwitnięcie kwiatu, był tam przed nim, powinien był uczynić tylko jedno: nie zniszczyć go.

Nam wystarcza tylko rozpoznanie Go, przyjęcie daru, nie odrzucenie tego, co dane. To jest to, co czyni z nas dzieci. Możemy przeżywać życie jako dzieci, ponieważ mamy Ojca, albo jako sieroty. Jeśli istnieje jakaś oczywistość, to jest nią fakt, iż nie czynimy siebie sami, mamy Ojca, możemy żyć jak dzieci, ze świadomością, iż jesteśmy przygarnięci albo możemy żyć jak sieroty. Pan odpowiada na naszą potrzebę. A o tym już myśli sam Chrystus. W jaki sposób zamierza On kontynuować swoją obecność? Powołując lud chrześcijański, sprawiając iż ów lud nieustannie powstaje. Pan jest obecny pośród nas właśnie dlatego, że my jesteśmy, dlatego że istnieje lud chrześcijański, będący znakiem Jego zwycięstwa. Kiedy ktoś pozwala ogarnąć się temu, wówczas nadzieja wydarza się niczym niespodzianka, człowiek zaskakuje sam siebie, żyjąc nadzieją: nie można wstać rano nie będąc już ogarnięty przez tę Obecność, to zaś określa [determinuje] sposób trwania w rzeczywistości, pójścia do pracy, przeżywania relacji.

Naszą nadzieją, jedyną nadzieją, która nie zawodzi, jest przeżywanie całego życia wsparci o tę Obecność, o tę spotkaną i ukochaną Obecność. A metoda jest łatwa, prosta: pozwolić się przeniknąć każdego ranka, w każdej chwili przez tę Obecność, rozpoznawać nieustannie tę Obecność, która jest: nie musimy jej sobie wymyślać, ona istnieje, a od nas

oczekuje się jedynie, byśmy przyjęli ów dar i pozwalali się nieustannie przez nią ogarniać. To jest to, co przemienia życie, to jest nowość przyniesiona przez Chrystusa.

Któż z nas, niezależnie od okoliczności, w jakich żyje, nie może przyjąć tego daru? Kto, nawet jeśli żyje daleko stąd, w Południowej Afryce czy w Australii bądź na Filipinach, będąc razem z kim drugim, może powiedzieć, że nie potrafi tym żyć? Nikt nie może przeszkodzić ci w przyjęciu tego daru. Zaakceptowanie go jest nowością, która czyni nas wolnymi w każdej okoliczności. Prośmy Matkę Bożą, abyśmy byli prostymi, i abyśmy tak, jak Ona przyjmowali każdego dnia orędzie, które do nas jest kierowane.